Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 33. **POZNAŃ.** **1844.**

POEZJA.

Krwawa biesiada.

Światło płonie z okien dworca,
Aż na gumna, wzdłuż podworca,
Bije łuna jasnych fal;
W dworcu dzisiaj huczny bal.

Jedzą, piją — ze szampana
Szumi na stół biała piana;
A tak krzyka każdy pan,
Aż się trzęsą mury ścian.

Daléj w tany! — Grzmi muzyka,
A z nią radość w serca wnika;
Wnet się ima w jeden krąg
Tyle białych, pulchnych rąk.

W kącie starsi grają w karty
I brzmią złotem, jak na żarty;
Kiedy bal, to huczny bal!
Pal tam djabeł smutki, pal!

Blisko dworca, w chatce małéj,
Pochylonéj, poczerniałéj,
Darmo szuka ulgi snu,
Chory, chory leży tu.

W wielkich bólach, blisko progu,
Stęka ciężko na barłogu,
Na posiłek niema nic,
Już śmierć patrzy z sinych lic.

Stęka ciężko — a tam śmiechy
Grzmią donośnie, śród uciechy;
Lecz czy wrzask i szklennic brzęk
Zgłuszą straszny chłopa jęk?

Wiatr do chaty mroźny wieje,
Jutro ranek nim zadnieje,
Już chłop utkwi oczy w słup,
Będzie z niego świeży trup.

O wy pany! o wy pany!
Za te tany i szampany,
Okupione kmiecią krwią,
Niech wam przyszłe rody klną!

Do złotéj kobiety.

Sonet.

Wczoraj, tak wczoraj świetnem przybrał szaty.
Więc tyżeś we mnie wzrok żądny utkwiła,
»Kocham cię, kocham« w me uszy kadziła;
Wczoraj, tak wczoraj! — gdy byłem bogaty.

Dzisiaj, ach dzisiaj brudne noszę szaty.
Więc tyżeś wzgardy wzrok hardy rzuciła,
I słówka, słówka do mnie nie mówiła;
Dzisiaj, ach dzisiaj! — gdym doznał dóbr straty.

Więc brudna szata i duszę zabrudzi?
Ubóstwo łańcuch przyjaźni rozkowa!
Ubóstwo czucie miłości ostudzi?

Jakaś ty wielce dumna próżnogłowa!
Ten pozór, który wartością u ludzi,
I ciebie łudzi — Precz z oczu! — bądź zdrowa!

A. Cywiński.

W starym piecu djabeł pali.

(Opowiadanie mojego dziadunia.)

. . . . . stało się — próżny płacz — próżny gniew, bo w starym piecu djabeł pali. — Tak zawsze mój Waść chłopcze bywało na tym padole płaczu, tak jest, tak będzie do skończenia świata. — U młokosa, co to szary rozum — mleczny wąs — kiedy poświta w rozumie, to nie dziwota — i nie grzech — ba!... to wasz powszedni chleb i chwacko wam z nim jakoś nawet; — ale biedny to człek — marszałek — Mospanie, co to już łysina jak księżyc, świeci z podszarzałéj czupryny, — piąty krzyżyk jak wół pisze się na czole,

— oszaleje, więc pocznie stroić koperczaki, smalić cholewki istno dwudziestoletnie chłopie, — a ztąd płatać koncept za konceptem..... Oj wtedy zaprawdę, to głupio i śmiesznie, i grzesznie często gęsto, Dobrodzieju. —

Ot pojrzyj Waść na ten wasz świat. — Choć tam na ten świat wasz dzisiejszy... miły Boże!—nie opłaci się i pojrzeć — a uznasz, że moja prawda. — Ej ale co tam do was gadać, — kula w płot, — groch o ścianę, — pobudka na wiatr; — wy dziś już i szaleć, to nie poszalejecie, jak my chwaty w dniach onych. Ot bo i za kim by lichem?.... A czy to te wasze salonowe damunie wycackane — wymuskane — wybladłe, jak szczurki w mące, jak owsiane placki, — a nudne, gorzéj marcowéj pogody, z francuszczyzną na ustach — z francuszczyzną w serduszku — z pustkami w głowie, a czy to one wiedzą Mospanie, że krew młoda, to nie woda, a serdeczny affekt, to nie wiatru gwizdanie, jedno boski głos, w człowieczéj duszy? — Oj mniéj zaprawdę jak kret o świetle, — bo u nich życie, to wieczna maskarada, a piękne słówka to mydlane bańki — a kochanie, to dodawanie — ne plus dicam.— Oj nie takie bywały niegdy nasze bogdanki!. aż wspomnieć słodko — aż pogadać mile!.... A buziaczek jak różyczka, — a ślipko jak dyamencik, — a życie jak woda w krynicy — a staniczek — w kontusiku, ze śreberkiem, godziwie a uczciwie, co gdy go ujrzysz to przepadnij z kretesem!. a serduszko, co gdy cię pokocha.... to poleć Matce Częstochowskiéj tamto niebo — a siedź sobie Mospanie na téj ziemi komornem choćby latek dwie kopy, bo i tak będzie ci tu weseléj i szczerzéj, i podarniéj i gospodarniéj, jak u P. Jezusa za piecem. —

Tak bywało!.. bywało też przytém i różnie — i głupio — bardzo głupio czasem, daruj Panie Boże, —gdy bies wetknął swoje trzy grosze,—anoć zawsze bywało, i lepiéj, i poczciwiéj, i potoczyściéj jak dziś. Ale wracając ad rem ut prius, że w starym piecu djabeł pali, a wypali często człekowi biedę — i kwas — i grzech, ot posłuchaj Waść coć powiem, a posłuchać warto, historją żywą — a to intra parentezim nie do jednego dzisiejszéj sytuacyi, niechaj będzie nauczką — jak my bywało wyjeżdżamy z onych tańców, — jak wy byście wybrnąć zeń mogli, — gdyby wam tak jedno swobody, a szabli, — a konia turka — a chłopca mazurka, a złotéj równości! — a w waszéj duszy więcéj życia, mniéj słodkich słów, — a w panieńskiém serduszku, mniéj romansów, więcéj dobréj wiary.

Było sobie to więc Mospanie, nie rok, nie dwa temu, — jak pomnę lata pańskiego 176*., — kiedy król ciołek z herbu, nie pamiętaj mu tam Panie Boże, szachrował tą prześwietną ś. p. Jagiellonów dziedziną. Więc pożal się Boże, nasze koronne litewskie i ruskie pałanki — Moskwa jak powódź zalała, — nasze starsze koronne syny, miast po staremu, po Żółkiewsku, po Czarnecku odbić szablę szablicą, zgryźli swą hańbę, i pokryli się jak krety na suszę, — drudzy choć poczciwe paniska, czegoś dziwnie pogłupieli — poślepli, i leźli po omacku, aż wleźli w radomski ratusz, — my młodsi bracia; rolna szlachta, srożem się było, indyczem — krew ledwo nie tryśnie z lica od gniewu, serce ledwo nie pęknie od boleści, — a trudno o mur głowę, więc przywarowalim pacierzy kilkoro,—nie zagaśli!—Jeszcze grała Mospanie po żyłach krew orszańskich zuchów,—jeszcze nie pordzewiały szable z pod Kluczyna — Kircholmu, Byczyny!.. Jak sobie chwat pan Puławski, starosta, i z panem Krasińkim, i z panem podczaszem litewskim nie hukną, było w Barze »Hej panowie bracia, kto szlachcic do broni! — hej bić, wyganiać szarańczę ze szkody!« tak i w lot po całéj Polsce odbrzęczały szable — odhuknęły głosy; — więc w Imie Boże bilim — gnalim, aż sercu tęskno . . . .

A i jam Mospanie nie od pieluch garbatym dziadem, — i nos ongi bywało aliquot nomen decusque gessimus... i nad tą spłowiałą wargą szumny wąsik się nalazł, — i szabli a tęgiéj, to i ogień w tych przygasłych oczach, — i panny a gladkiéj, to i strzeliste słówko w tych ustach, — i ta dłoń przecie nie jednemu wrogowi pospolitéj rzeczy, za djable poświeciła kordem do królestwa niebieskiego!.... Tak bywało — i zbyło się! — ha kusa rada, starość nie radość — śmierć nie wesele. — Więc było, na dwudziesty piąty roczek jakoś mi się już obraca, a chodzę wtedy, pomnę towarzyszem, pod pancerną chorągwią mniejszéj buławy. — Naszał ją mój wujeczny pan Ciński, podczaszy nurski, — porucznikował drugi wujeczny, pan Jan Okolski, Panie świeć jego duszy, człek nie z puchu, nie z marcepanów — nie z miodowych słówek, ale z blizn, — ze szram, — z sarmackiéj poczciwości, a lwiego zlepion serca. — Niby brat, był mi drugim panem ojcem w obozie. — Więc tedy pomnę jak raz ów dzionek, — stajem sobie załogą na poczciwych Mazurach w . . . . ., — a jak Waści znano, było to moje gniazdo. — Wszędy dobrze, najlepiéj w domu, — było i mnie więc dobrze, jak pączkowi w maśle. —Więc kiedy się to dzieje, —po szlachcie od dworu do dworu, chodzą zrazu głuche wieści — potém coraz dobitniejsze, — a wszystkie rwące — chwackie, — a wszystkie na jednę nutę: do broni — do broni na

wroga! — Dziś manifest z Baru, jutro wezwanie Sasa, pojutrze jaki tajny wysłannik — alias szpieg wielkiego hetmana — lub pana wileńskiego panie kochanku, lub drugiego poczciwca, a jedno od drugiego dzielniejsze — ognistsze, i serce było rośnie — czerwienieje, jak żelazo w żarze; — a tu téż nad sercem, nad karkiem Moskal — Moskal gdzie pojrzysz — i zawsze Moskal, jak sól w oku, — a tu téż za karkiem król, — to by uszedł, ale do wodzów pospolitéj rzeczy, to istno małpa w kościele. — Hej choć na Mazurach i chleb dobry, i dorodne dziewczęta i poczciwe chłopaki, było nam jak we wrzącéj kąpieli. — Jaki taki ledwo nie wyskoczy ze skóry, więc leci jako i ja do pana porucznika, więc szast przystojnie, nadobnie — »Ej panie cześniku puść nas przez boskie rany, albo leć z nami do konfederatów — na Moskwę, — bo jak to słonko na niebie, porwiem się sami, i ucieczem« — — A pan porucznik: — Turki! — wytnie od ucha, jak mu było przysłowie — Turki — czekać i milczeć — czas przyjdzie.« — I stój, bo pan cześnik dwa razy nie mówi, — i może przyjdzie — co broń Matko Najświętsza! bij swoich!... Ho nie przyjdzie!... bo P. Bóg dobry, a pan cześnik poczciwy — i głowa nie od parady u niego na karku. — Więc każdy ufa i czeka, a Bogu krzywdę ofiaruje, a w piersiach zemstę dusi. — I spłynęło skwasilim tak znowu dzionków kilkoro.

Aż tu jednego popołudnia, pomnę jakby wczoraj, słonko promieniste wali sobie do zapadu, — my — towarzystwo — z nudoty — z pragnienia, łazim sobie — bundurujem tam i sam między Moskwą jak gończe w czcząj kniei. — Panowie Moskwa zerka na nas kociemi ślipiami, — kiedy tu nagle od Łowicza — od Warszawy sadzi gwałtem jakiś jeździec istno dyabeł w tumanie. — Ej bies nie śpi, Bóg czuwa, może to nasze barskie chwaty zahulali już po stolicy, stroi sobie jaki taki w rozumie, — więc gawroniem pacierz i drugi, — aż przywalił — z konia skoczył, a tu masz go kata, spes fallax — goniec od króla jegomości. —

Więc pan porucznik wziął królewskie pismo — i czytał i brwi najeżyły mu się jak u jeża — czoło pochmurzyło istno niebo na burzę; — tak czytał — aż i skończył, a i skończył. — Potém stał jeszcze chwilkę — my w okół jak wedle raroga, — potém zapłonął nagle, jakbyś mu ognia waść nasuł za skórę, — potém splunął trzy razy, trzy razy tupnął, — cisnął pismem o ziemię — i trzy razy wyciął — Turku! Turku! Turku!.. Zdrajco przypieczętował, — i zamknął jak niemota. — Ha — to dziw — stroi sobie jeden i drugi; — myślą odgaduje — rozumem przerzuca, — i wszystko, jakbyś wodę czerpał przetakiem. Aż też z końca i panu porucznikowi rozwiązały się usta. — »Stało się pany i bracia — wyciął Turek — król jegomość, każe nam z Moskwą ciągnąć na konfederatów. — Obiecuje złote góry — obiecanka cacanka — a . . . A co pociągniecie mościwe pany?.

A niechże nas Matka Częstochowska broni i zachowa; odhuknęlim kołem; zdrowiéj by nam było zginąć od własnych mieczów! — Król — odpuść mu panie. — Zdrajca! mruknął któryś. — Nam na Moskwę — na Moskwę — do konfederatów! — Wiwat barskie chwaty, Polska i Marya!...

Tak zagralim, — a wszyscy gwarno — a huczno; — pan cześnik milczy jak skała, — tylko oczy dziwnie mu rozjaśniały, — i lice rozwidniło się dziwniéj. — Aż huknie raptem: — To lubię Mospanku! — toście mi karmazyny godne antenatów! — krew z krwi — kość z kości sarmackie plemie. — I każdego serdecznym affektem uścisnął dłoń we dłoń, a było ono ściśnienie takie czegoś szczere — i rzewliwe, że o włos wszyscy nie ucięlim w dudki. — A potém gadał znowu! — Panowie i bracia, — w imieniu téj najjaśniejszéj rzeczy pospolitéj, dziękuję wam za wasze ku niéj poczciwe chęci. — Turki — chciały nas straszyć, — gruszki z tego na wierzbie. — Mościwe pany z okołaśmy jako obegnani od Moskwy, — nas kruszynę, ich jak mrowia. — Trzeba spróbować tatarskiéj gry. — Do zmroku niech więc każdy czyni swoję powszednią sprawę, — a o zmroku, jak na niebie baby zaświtają, nuż łap każdy manatki — podjezdka i smyk chyłkiem z obozu samowtór — samotrzeć — jak wola we sto szlaków. — Gdy zjedziem się w Bugaju, ztąd o cztery mile, — da Bóg, pomyślim o reszcie. — A co Pany bracia — zgoda? —

Zgoda! — odwrzaślim radośnie, i w punkcie rozleźlim się po stronach, i było sobie jakby nigdy nic. — Moskwa po trochu patrzeli ku nam — mędrowali głowami, ani im nawet w myśli powstało, co się to ustroić mogło. —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRYTYKA.

Die
Atheisten und Gottlosen unserer Zeit
von
Friedrich von Sallet.
Leipzig. 1844. Druck und Verlag von Philipp Reclam jun.

(Ciąg dalszy.)

2. Małżeństwo.

Zadaniem człowieka jest więc, jakeśmy poprzednio wskazali, przeprowadzenie wielości w jedność, materyi w ducha, konieczności w wolność, słowem przeprowadzenie świata w Boga. Rozwiązanie tego zadania na tém się przeto zasadzać będzie, aby człowiek tak teoretycznie w myśleniu, jako też i praktycznie w czynie, jedność, ducha, wolność, czyli Boga pojmował, objawiał i przedstawiał.

Człowiek, na stanowisku swéj odrębnéj pojedynkowości pozostając, nie może atoli *jedności*, *wolności i ducha* ani poznać, ani przedstawić. — Na pozór rozrzucona i rozprzęgła wielość świata, w myśli pojedyńczego człowieka do jedności sprowadzona, nie byłaby jeszcze jednością bezwarunkową, gdyżby sobie każde indywiduum, w swéj stroméj osobności inaczéj tę jedność wyrabiać i ukształcać mogło, a tak tylkoby się wielość w mnóstwo względnych jedności przedzierzgła, i znowuby się tém samém w wielość rozsypała.

Równie człowiek, w swéj jednostkowéj odrębności zawarowany, nie byłby w stanie poznać i przedstawić ducha. Duch bowiem jest ogólnością, wszelkie szczególności pochłaniającą, przeto chcąc ducha poznać, trzeba cały świat i całą ludzkość swym duchem ogarnąć, a raczéj ducha ze świata i ludzkości w swego ducha wgarnąć. Lecz jakżeby temu tytańskiému dziełu, nad którém cała ludzkość połączonemi siłami od wieków bezustannie pracuje, pojedyńczy człowiek jak pusty kołek w świat zatknięty, o własnych nadto czasem i przestrzenią ograniczonych siłach sprostać mógł, zwłaszcza nie mając ani obok siebie, ani za sobą ludzkości, tego najobfitszego źródła do czerpania znajomości ducha?

W końcu nie może człowiek, nie wychodząc ze swéj indywidualnéj zagrody poznać i przedstawić wolności. Wolność nie jest niczem inném, jak tylko prawem i koniecznością za rozsądną uznaną, którą duch w sobie połączył i samowładnie ze siebie wysadził, i w któréj jako w samym najwłaśniejszym przez siebie utworzonym żywiole sam siebie uznaje i sam siebie posiada, a tém samém konieczność w zupełną wolność zamienia. Lecz człowiek pojedyńczy, chociażby świat swym duchem owładnął, i choćby się po parku konieczności światowéj jako wolny przechadzał, i sam do siebie przyszedł, nie mógłby przecież wiedzieć, czy go do téj wolności jaka zewnątrz niego znajdująca się potęga konieczności nie przypiera, i czy nie jest właśnie tak utworzonym, że się wolnym mniemać musi, słowem, czy ta jego wolność nie jest instynktem, nie jest zjawiskiem natury, a przeto nie wolnością lecz koniecznością, od wyższéj za jéj obrębem leżącéj wolności w ścisłych karbach trzymaną. Wreście widzą wkoło siebie inne ludzkie jednostki, a nie obcując z niemi, nie mógłby wiedzieć, czy te istoty także wolność posiadają, lub czy też tylko każda z nich swéj szczególnéj, sobie właściwéj wolności używa; w którym to razie mnóstwo wolności przyjmując, prawdziwą wolność się znosi, bo wolność tylko jedna być może, t. j. wolność bezwarunkowa.

Także i praktycznie nie dałaby się wolność przedstawić, gdyby każda jednostka, w swéj osobistéj cieśni się zamykając, względem drugich obojętną i obcą była, albo gdyby się wszystkie jednostki nawzajem między sobą odpychały i chaotycznie krzyżowały. Stądby nie wolność, ale anarchiczna i despotyczna samowolność powstała.

Wolność przedstawia się dopiero wtedy, gdy różne jednostki swoje wole w jednę wolą samowiednie zestrzelą, i gdy tę jednę wspólną wolą za ogólną, rozsądną, a przeto wolną wolą uznają. Lecz już tém samém, jeżeli się choć dwie ludzkie jednostki w swéj najwewnętrzniejszéj istocie za jedno poznać i uznać zdołają, będzie *jedność* dokonaną, *wolność* osiągniętą, i *duch* jako duch porodzonym i zatwierdzonym.

Bo jakże się dwie jednostki za jedno uznać zdołają? — Nie w cielesności, — bo ta widocznie w dwoistości pozostaje; — ani też w uczuciach, bo i te mniéj więcéj z cielesnością w styczności będące, tak są w każdéj jednostce rożne, tak ulotne, tak przemienne, a przeto tak niepochwytne, iż się w jednę trwałą i niezmienną jedność żadną miarą zespolić nie dadzą. Przeto nie w czém inném punktu spójnego dla dwóch jednostek szukać należy, jak w tém, co samo w sobie bez wszelkiéj przymieszki cielesnéj lub zmysłowéj zawsze czyste i niezmącone istnieje, t. j. *w duchu*.

Duch z duchem nie łączy się też tak, jak materya z materyą, t. j. ani mechanicznie, ani chemicznie; bo duch z duchem złączony nie tworzy ani większéj bryły, jak materya w mechanicznem połączeniu, — ani też nie traci swéj właściwéj istoty, jak materya w chemi-

czném przetrawieniu się, — lecz bez przymnożenia massy, jako i bez przemiany swéj istoty przelewa się duch z duchem w jednę prawdziwą jedność, a tonąc całkowicie w drugim, nie gubi przecież sam siebie, ale tym mocniéj sam siebie uchwyca, tak, że z dwóch duchów powstała jedność, jest oboma duchami razem, i każdym duchem z osobna, czyli jest tylko jednym i tym samym duchem z dwóch duchów przystających zupełnie do siebie.

W tém doskonałém przeniknieniu i pojednaniu się ducha, z duchem spoczywa nieskończoność i wieczność ducha, jego stałość, trwałość i niezmienność, jego wolna istność za obrębem czasu i przestrzeni. Po tych godach ducha z duchem, uznaje duch swoje istnienie w sferze czysto-duchowéj, w łonie Boga samego, gdzie go już żaden wyższy duch jako niższego ducha pochłonąć i zetrzeć nie zdoła.

A tak znalazł duch swoją jedność z duchem, t. j. z sobą samym, t. j. doszedł do przeświadczenia, że on sam jest bezwarunkową jednością. Odtąd ma prawo uważać się za ogólną sprawiedliwą miarę do mierzenia wszech rzeczy, do pociągania ich pod swoje prawidło; odtąd dosiągł nawet tego najszczytniejszego punktu, w którym się z Bogiem, z samym duchem nieskończonym jednoczy.

I wolność ducha osiągniona, gdyż duch poznawszy dokładnie samego siebie w duchu, i zatonąwszy w nim nie zginął, ale owszém sam siebie odzyskał, i wolny sam do siebie powrócić może. Duch znajdując w duchu świadectwo o sobie i zatwierdzenie samego siebie, przeświadczył się, że nic już nie ma obcego, coby się jego przenikliwości oprzeć zdołało, coby z zewnątrz niego nań wpływać i działać, i bez jego wiedzy prawa mu narzucać mogło; przekonał on się, że on sam w sobie jako wolny panuje, że on sam dla siebie przezroczysto się postaciuje; i odtąd to, kiedy już duch na sobie nic obcego nie ma, przestaje i materya, czyli wielość natury czemś obcém, czemś nieprzeniklém dla niego być.

Także i stósunek do Boga stał się wolnym. Albowiem duch w duchu się uwalniający, przełamuje ciasne więzienie, w którém sam w sobie był zamknięty, wystawia sobie niewidzialny most w krainę ducha, wychodzi rozradowany z swéj pojedynkowéj odgraniczoności, i sięga aż do ogólnego nieskończonego ducha, czyli aż do Boga samego. Tak rozpływa on się w całéj swobodności po świecie i Bogu, nie gubiąc przecież samego siebie.

Uznaliśmy więc potrzebę, aby pojedyńczy człowiek w rzeczoném połączeniu się swoją własną istotą, t. j. samego siebie jako ducha uznał. Lecz człowiek w swym pierwotnym stanie nie jest jeszcze duchem, lecz tylko możebnością ducha. Jeszcze go natura na swém łonie piastuje, a jego życie nie wiele się różni od życia zwierzęcego. Przeto takiego związku, jakiego do jego uduchownienia wymagamy, nie może własną wolną wolą zawrzeć, gdyż wolna wola jeszcze wcale w nim nie rozwinięta. Także i *czynem ducha* związku tego zawrzeć nie zdoła, gdyż go właśnie ten związek dopiéro z jego ciemnéj w sobie saméj zamkniętéj pojedyńczości wybawić i *na ducha* wyzwolić ma. Przeto musi się warunek do tego związku jeszcze w sferze saméj natury znajdować, czyli musi być przyrodzonym. Musi on pierwotnie jako nagląca konieczność natury występować, którą dopiéro człowiek, stawszy się już duchem, do sfery duchowéj wolności podnosi, a tém samém znosi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PRZEGLĄD PISM.

Poezye Alexandra Grozy

przez

ROMANA MAZURA.

(Ciąg dalszy.)

Przeciwko temu, cośmy powiedzieli, niesłusznie by kto zarzucił, że gdy głównym autora celem było malowanie, odtwarzanie życia ukraińskiego, szukając w pieśni jego zadowolenia wymienionych żądań, obraziliśmy owe niewątpliwéj słuszności zdanie: iż pisarza nie według tego, czego nie uczynił — lecz według tego jak zrobił, to co chciał zrobić, sądzić przystało. Uważaliśmy bowiem zdolności i siły poety w szrankach, jakie sam sobie zamierzył; wykazaliśmy niedostatek i ułomność w wykonaniu własnego jego planu. — Wytknąć drogę, obrać sobie plan najdogodniejszy budowy, to rzecz zupełnie dowolna: przetoż każdemu baczyć przyzwoita, by nie stały jego zamiłowania i władze umysłu w sporze z przedsięwzięciem, lub by zbyt małemi nie były. Skoro zaś raz dzieło spełniać się imie, wtedy w każdym harmonijnym utworze konieczne są pewne warunki, względna zgoda pomiędzy częściami i całością. Inaczéj ciąg najdoskonalszych obrazów, najcudniejszych ustępów pojedyńczych, złoży nędzny ogół — tak, jak najdoskonaléj kopjowane skały, drzewa i wsie dadzą najpotworniejszy krajowidok, gdy niezachowasz przyzwoitego cienia, perspektywy i ugrupowania.

Wszakże w tym razie, nawet pojedyńcze obrazy, ustępy niepodobna zadowalniającemi uznać; niepodobna oddać pisarzowi zaletę w spełnieniu najgłówniejszego zamiaru. — Miejsca przytoczone jak winny być węzłami opowieści, tak zarazem w nich tu najwięcéj znaleść byśmy powinni tajemniczego uroku, jako w natchnionych wiarą i podaniami Ludu. Istotnie autór powtórzył tam tylko wiernie wyobraźni gminnéj twory *) — i dla czegóż nie oczarował niemi, gdy wziął

*) Osobliwie ustęp, którym dla tego jedynie umieścił, że jest nieledwie dosłownym z baśni gminnéj wyjątkiem, gdy do modlącego się pokutnika schodzą słuchać Bożego słowa wsze twory. — Tylko, że w baśni pustelnik sam je zwołuje i rozmawia z każdém jestestwem według języka jego.

je z czasów prawdziwych świata? Oto słowom jego braknie na téj tajemniczéj potędze, którą słowom podania w uściech Ludu daje *wiara; wiara*, z którą gdybyś rzekł górze: »pójdź za mną!« — góra by wstała i poszła za tobą. Jeżeli zaś w życiu powszedniém słowo ma rzeczywistą moc i wartość, które z szczerego wyszło przekonania, dla czegóż nie otrząść się z przesądu, iż w poezyi, tym najwyższym ducha zawodzie, któremu prawdy kapłaństwem być przystało, wolno powiedzieć poecie, to w co sam nie wierzy? Autór dopuszczający się podobnego występku przeciw powołaniu wieszcza, popełnia *kłamstwo natchnienia;* kłamstwo, w skutek którego weszło tyle lichych płodów, w ciele tyle wierszowanych słów nie noszących duszy; — kłamstwo takie bowiem zawsze jest kamieniem obrazy wynalazcy swemu, i jako powiedział Szyller, niby strzała z łuku do bóstwa rzucona, odwraca się od celu a godzi w pierś niebacznego strzelca.

W obrazach nie z podań gminu, ale z czynnego życia zdejmowanych, nie wiele więcéj znajdzie się piękności: szpecą je wszędzie rozwlekłość, brak ruchu i czucia, pospolitość zbytnia lub przesada. Wszakże z przyjemnością spotykać można tu i owdzie rzucone kilka wierszy niepozbawionych zupełnie poetycznéj duszy. Takim np. jest opis ranku po strasznym śnie Żeleźniaka:

». . . . . Księżyc zabiera
Noc z liców ziemi, gwiazd złote roje
Lecą po niebie, za dnia podwoje,
I uleciały; deszcz ziemi lica
Obmył, i ziemia, czysta dziewica,
Swojego króla w złotéj koronie,
Na świeżém, wonném przyjęła łonie.
Wesoło niebu, słońcu i ziemi:
Swieży Dniepr igra pletwy jasnemi;
Zwilżone jego lubieżną falą,
W słonecznym ogniu piaski się palą.«

Gdzie indziéj znowu, prawdziwie piękne zaczęcie:

»Zajrzało słonko i policzyło
Na sta, dziesiątki, ile ich było:
I wszystkie stały, oprócz jednego,
Oprócz kurzenia Maxymowego.« —

Te kilka wierszy, tak na pozór prostych i zwyczajnych, aż żal widzieć utopione w nawałnicy ciekących nudnie rymów: tak cudne są swoją prostotą, tak prawdziwie zgodne z tokiem rzewnym dumy. Tak też znakomitéj ceny jest ustęp kończący dumę, którym też i my przegląd jéj radzi kończymy:

»Na Montraneńskiéj kniei osiada
Chmura i orzeł; a ona rada
Chmurom i orłom, stoi zielona,
Tysiącem wnuków swych okolona,
I drobnéj dziatwie cudownéj treści
O byłych czasach szepce powieści:
Jak w jéj zielonych namiotach żyli
Starzy Słowianie; jak w niéj święcili
Wieczyste zgliszcze, zanim żąć kłosy
Wyszli na pole, zanim niebiosy
Wzięli za namiot, zanim zmienili
Szaty i bogi; jak potém znowu
Krył się w niéj Tatar żądny obłowu;
Jak ona swoich żałując dzieci,
Stała o wojnie pierzaste wieci;
Jak mnogie lata pożarem wojny
Wrzała, kipiała, nim czas spokojny
Do niéj zawitał, nim osmalone
Konary wzięły barwy zielone.
Tak Motraneńskie gwarzyły knieje,
Aż Maxym nowe zaczął w nich dzieje,
Aż tu sprowadził swe Zaporoże,
Poświęcił piki, szable i noże,
I stokroć krwawszéj od tamtych treści
Nauczył stare lasy powieści.« —

Soroka — duma ukraińska, składa się ze wstępu i trzech części. Na czele umieścił autór wiadomość, iż kilka podań miejscowych, przywiązanych do ogromnéj mogiły *Soroka* zwanéj, podało mu treść téj dumy. Rzecz samą zaś tak prowadzi:

»Czego twój, bracie, chwieje się wrony?
Czego on, bracie, taki spieniony?«
»Trzy dni, trzy nocy on mnie tu niesie;
Stałem na czatach przy czarnym lesie«;
»Trzy dni, trzy nocy ku nam leciałeś,
Cóż tam po czarnym lesie widziałeś?«
»Widziałem kruki stadem lecące,
Widziałem wilki trzodą błądzące,
Widziałem stare we łzach rodzice,
Z rozwianym włosem kraśne dziewice;
Mołodce konno mogił pilnują,
A dym kłębami po jarach bieży,
A jak noc Boża, łuny koczują,
Zda się na zgliszczu cały świat leży.«

Tak wodzowi kozaczyzny Soroce, wieść daje, szwagier jego Marko o najściu Iwana Giraja; Soroka każe bratu Marka uderzyć w trąby bojowe.

»We środku zamku, w białéj świetlicy,
Jest cudotworny Boga-Rodzicy
Odwieczny obraz; po Ukrainie
Szeroko swemi cudami słynie;
Pod tym obrazem co rok święcone
Wiszą na ścianie trąby złocone.
Idzie do białéj Marko świetlicy
I bije pokłon Boga-Rodzicy,
I z ściany trąby złocone bierze,
I na zamkowe wybiega wieże.«

Ztamtąd uderza w lewo i w prawo i w górę z trąb cudownych, a na głos ich stop i lasy jeżą się od dzid mołodźców. Soroce wszyscy przyznają atamański buńczuk, i przysięgają, krzyż całując, obyczajem dawnym; potém ciągną wszyscy ochoczo na bój, a w zamku sama jedna pozostała żona atamana Praxeda modli się o szczęsną wyprawę dla męża. — Tymczasem

»Inaczéj było na wilczym jarze;
Syta rozbojem, w śmiechu i gwarze
Trzymając swoich brańców na smyczy,
Zasiadła tłuszcza tatarskiéj dziczy,
Rozhowor wiodąc o swéj zdobyczy,
Rozhowor wiodąc o swym powrocie,
O krasie branek, o czystém złocie.«

I urągając wspominają o wróżbach przeciwnych, co im zły, gdy ciągnęli na wyprawę, zapowiadały koniec. Aż po nad rankiem, gdy straże posnięte nie baczyły niebezpieczeństwa obozu, wpadają zbrojni Ukraińce i rzeź okropną sprawują.

»Dzień się przebudził i wstał wesoło,
Jakby nie bryzła krew mu na czoło;
Dzień się przebudził i wstał spokojny,
Jakby nie słyszał rozboju, wojny.
Witał wesoło dzień przebudzony
Braniec, z tatarskich łyk uwolniony,
Witał i kozak wygraną pijany,
Co zbierał szable, zdzierał turbany;
Lecz najserdeczniéj witał płacz dziatek;
Skaczących z wozów do swoich matek,
I krzyk radosny dziewcząt niewinnych,
Co się do płaczów łączył dziecinnych.«

Ale wśród powszechnéj radości téj, nagle goniec przybiega z wieścią od pięknéj Praxedy, że Tatarzy ją w własnym otoczyli zamku: więc znów na konie wojacy, i na odsiecz oblężonym spieszą. Nim przybiegli na miejsce, pogaństwo szturmuje do grodu, ale ciężko porażone cofa się i na nocne wraca legowisko. —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Improwizacje dla moich przyjaciół

Książeczka do zapalania fajek,

przez

I. J. KRASZEWSKIEGO.

(Wydanie drugie)

(Dokończenie.)

Przypisek do powieści charakteryzuje znowu ową niestósowną fanfaronadę autora, — niezmiernie wymuszoną ni w pięć ni w dziewięć. — Następuje artykuł o osłach i innych zwierzętach, nie źle napisany. Naszych osłów i cielątka tak autór opisuje:

»Prawdziwy osieł jest to kamień, z którego ani prożbą, ani groźbą, ani nawet uskutecznieniem groźby, to jest, batogiem, nic nie zrobisz. Nieszczęściem takich osłów na świecie jak maku; gdzie się obrócisz, wszędzie się o takiego otrzesz; gdzie spojrzysz, musisz go zobaczyć. Człek-osieł nosi głowę w górę, świszcze chodząc, ręce w kieszenie chowa, ma się za najrozumniejszego; śmieje się z drugich, całe życie próżnuje, roznosi plotki, i tak uporczywie stoi przy swojém zdaniu, że gdyby szło o zbawienie duszy, pewnoby go nie zmienił. Oto cecha, po któréj go poznasz. Łatwo temu naznaczyć przyczynę.

Osieł chwyta jakieś zdanie nie rozbierając, trzyma się go nie rozumiejąc, a nie pojmując dla czegoby drugie od tego lepszém być miało, obstaje zajadle przy swojém, dając za przyczynę: ja tak uważam, mnie się tak zdaje!!

Dla takich ludzi niéma szczęścia ani piękności; nieczuli podrzeźniacze tych, których za przykład wzięli; chwalą z téj saméj przyczyny, dla któréj cielęta w bajce biegają. Nie czując nic a nic, śmieją się ze wszystkiego, jak gdyby wszystkiém gardzili — słowem, biada temu, komu się z niémi żyć dostanie!!

Podobni do nich ludzie, lecz nierównie lepsi i dogodniejsi w towarzystwie są ludzie-cielęta. Ci dla ograniczonego umysłu, przeciwnie zupełnie sobie postępują, jak osły.

Nic nie rozumiejąc, na wszystko się zgadzają, dają z sobą zrobić co się podoba, o nic nie dbają i żyją spokojnie, nikomu nie zawadzając. Człowiek-cielę ubiera się zwykle niechlujnie, patrzy i nie widzi, chodzi z otwartą gębą, chustkę zawiązuje koło szyi jak postronek, frak plami i je całe życie co popadnie, na każdą rzecz mówi — *tak* — bo nie widzi przyczyny, dla czegoby miał mówić — *nie!* Chodzi sobie na spacer i gawroni się, nie dba o nic, śpi smaczno, żonie ulega, dziwuje się każdéj rzeczy i umiera zazwyczaj z reputacyą bardzo godnego obywatela, z fajką w gębie, z cukierkami w kieszeni, z śmiechem na ustach. Zresztą człowiek-cielę niezmiernie jest potrzebny w towarzystwie, nikomu nie zawadza, nie przeczy, nie gniewa się i wszystko chwali, lubi nadewszystkwo spokojność.

Są ludzie-osły, są ludzie-lisy, wilki, lwy, papugi, ludzie-świnie, konie, psy, ale tych opisywać nie trzeba: każdy łatwo pozna, łatwo zadeterminuje; w każdym szynku nauczą cię, kogo masz psem nazywać, a kogo lisem.«

Rozdział o niebieskich migdałach, znany; — tylko że w dawniejszym odcisku nie szpecił go znów ckliwy niezmiernie przypisek, w którym powiada autór: »że odczytując ten za młodu napisany artykuł, strasznie rusza ramionami, lituje się nad nim etc.« Czytelnikowi to litować się trzeba i ruszać ramionami nad tak żakowskimi konceptami w których prawdę sam autór nie wierzy — bo wié, że fantazya o niebieskich migdałach, jest jedną z najlepszych, które napisał. — Czytając to wiecznie powtarzane wydrwiwanie się w przypiskach, zdaje nam się słyszeć żarciki jakiegoś poliszynella, który przy hecy skacząc pod liną, wydrzeźnia skoczka tańczącego na linie i ku zabawie żaków powtarza po tysiąc kroć jedne i te same oklepane dowcipy. Dobrze, że następnéj powieści o »Babie kościelnéj« nie zeszpecił autór dowcipkiem. — Powieść ta jest jedną z najlepszych pana Kraszewskiego. — Niema w téj powieści ozdób bezpotrzebnych — tych nic nie znaczących frazesów — jest to wyrażenie boleści człowieka z dobrém ludzkiém sercem — nad ludźmi bez serca, t. j. nieludźmi.

Jak pięknie np. charakter wielu z lekarzy w następnym ustępie opisuje.

»Wiatr wył okropnie, dzwony jęczały, i zdawało się, że nie ręka ludzka, ale ręka burzy niemi miota.

Kondukt pogrzebowy szedł ulicą; pieli księża, grała muzyka; ale wiatr pogasił wszystkie światła — ciemno było i straszno. Dziewczyna szła za trumną i rzewnie płakała, w ręku trzymała zgasłą od wiatru świecę i chustkę mokrą od łez i deszczu; ona nie miała siły spojrzeć na trumnę; szła tylko, nie patrząc przed siebie, jak gdyby ją jaki instynkt prowadził, szła aż do kościoła, tam stanęła i znów płakała, a wszyscy patrzali na nią i nikt cieszyć nie myślał. Księża skończyli śpiewać, wszyscy wyszli, ona stała, dziad ją za drzwi kościelne wyprowadził, zatrzasnął rygle i poszedł mrucząc *Wieczne odpocznienie*. Wiatr wył, deszcz lał, ona stała jak wryta i płakała, oparłszy głowę o mur kościelny, ale nikt jęków nie słuchał, nikt na łzy nie patrzył, bo była noc, noc głucha, a na cmentarzu po nocy nikt nie chodzi, chyba duch. — Marysia płakała długo i siadła płakać na kamieniu i zasnęła biédna.

Obudziła się rano, żeby spojrzyć jak trumnę wynoszą, znowu pobiegła za trumną na cmentarz, pobiegła nad jamę, spojrzała w nią, a ten dół przez zły błyszczące w oku wydał jéj się tak okropny! Usłyszała szmer sunącéj się po powrozach trumny, chciała się rzucić za nią, ludzie wstrzymali, potém sypała się ziemia, ona słyszała, ujrzała nad nim mogiłę ze świeżego piasku, w jéj głowie przewróciło się, zaczęła śpiewać i tańcować na jego grobie! Ludzie poszli ruszając ramionami, Marysia została na grobie, i tańcowała jak młoda topól uginana, śpiewała wesoło, śmiała się okropnie, a jak zmrok przyszedł, położyła się obok mogiły, mówiąc sama do siebie: — Antoś przyjdzie niedługo, on zawsze ze mną śpi razem! — usnęła.

W północ obudziła się; koło jéj głowy stała latarka, koło niéj obok leżał trup kochanka, daléj stało dwóch jakichś ludzi, a trzeci równał mogiłę łopatą, mówiąc:

— E! Panie Doktorze! ani znaku nie będzie!

Trup jego był odarty do naga, ona rzuciła się na zimne ciało Antosia i krzyknęła. Doktorowie poskoczyli ku niéj, grabarz cofnął się, jakby kto strzelił do niego.

— Kto to? —

— Kto? —

W Imie Ojca!

A ona odezwała się: — Cha! cha! to ty, Panie Doktorze, przyszedłeś leczyć Antosia! o! on zdrów! ja go wyleczyłam, on spał dziś ze mną; my Pana nie potrzebujem. On zdrów, zupełnie zdrów, tylko śpi. —

Potém ściskała i całowała trupa.

Doktorowie osłupieli, grabarz stał drzący, jeden szeptał drugiemu:

— To ta dziewczyna, co była u niego, pamiętasz? musiała zwarjować! Nie traćmy czasu, bierzmy trupa i w nogi; no! na plecy go! — Dał znak grabarzowi; ten się zbliżył, chciał wziąść trupa, ale dziewczyna nie puszczała kochanka i groziła, okropnie zgrzytając zębami grabarzowi. Doktorowie stali i patrzali na to, jakby kto inny przyglądał się marjonetkom. Dziewczyna ciągnęła sobie trupa, grabarz sobie; nie było ratunku. Stary uderzył ją silnie łopatą, żeby się jéj pozbyć, mrucząc pod nosem:

— Będzie dwie zamiast jednego! —

Dziewczyna krzyknęła boleśnie, młodszy doktor poskoczył, zgromił starego grabarza, wziął dziewczynę gwałtem za rękę, i wodząc latarką koło jéj twarzy, zawołał:

— Wcale niczego! gdyby nie ten szał, jabym ją gotów wziąść z sobą. —

— I! porzuciłbyś te głupstwa! — przerwał drugi – blada jak upior, chuda jak trzaska, weźmiem chyba na dyssekcyą, lub dla sprobowania na niéj mocy nowego preparatu naszego.

Marysia patrzyła na nich, usiłowała wyrwać rękę swoję z rąk doktora, a nie mogąc tego dokazać, ugryzła go za palec i krzyknęła:

— Ty nie Antoś! oddaj mi Antosia! —

Pan Konsyljarz krzyknął, ale trzymał dziewczę; grabarz naprzód szedł i niósł trupa.

Marysia gwałtem prawie wleczona dociągnęła się do mieszkania doktora. Trupa położyli na stole, grabarz poszedł, doktor zamknął dziewczynę w osobnym pokoju, dał jéj wina i chleba, a sam poszedł na dyssekcyą.

Marysia nie jadła ani piła, chciała iść gwałtem do stołu gdzie leżał Antoś, ale drzwi były zamknięte, ryczała prawie z boleści, a doktor palił cygaro i machał bisturem.

Ona przyłożyła oko do dziurki od klucza, widziała jak jéj kochankowi odcięli głowę, jak poobrzynali ręce i nogi, i padła na ziemię bez przytomności.

Doktor poszedł z rękami obluzganemi krwią oschłą trupa do Marysi i gładził ją, ciesząc, pod brodę; ona szalona uśmiechała się do niego, a jak świeca zagasła, poszła spać spokojnie i tuliła się do doktora, wołając na swego Antosia, i macała mu głowę i ręce, pytając, czy ten kat doprawdy ich nie poobcinał??

Mróz dochodził do dwódziestu stopni, biedna, w obdartych łachmanach Marysia, stała przeziębła u drzwi lichego domku.

W piersiach jéj brakło głosu do wzywania litości; dwie łzy do połowy zmarzłe toczyły się po jéj twarzy; te łzy mróz wycisnął, boleść na jéj sercu nic już działać nie mogła, bo to serce było przesiąkłe, rozdarte cierpieniem.

Piersi jéj, śliczne niegdyś, piersi były obnażone, płachta podarta okrywała je do połowy, ręce miała stólone i przymarzłe prawie jedna do drugiéj, nogi czarne, na jednéj z nich trzewik, na drugiéj resztka wełnianéj pończochy.

Jęczała tylko a w tym jęku nie było słowa, lecz była prośba; ten jęk obijał się o serce jak konającego modlitwa do Boga; ludzie chodzili, ludzie jęki słyszeli, a jednak nikt jéj nie wpuścił do domu; stała biedna pode drzwiami, a mróz był tak okropny! nieśmiało powoli otworzyła drzwiczki domku i jęknęła; z izby wyleciał głos:

— A czego tam łazisz i izbę studzisz? Do Dobroczynności! Zamykaj, zamykajże! —

Marysia jęknęła raz jeszcze; stary, czerwony mężczyzna w brudnym szlafroku wyleciał naprzeciw niéj, chciał łajać, spojrzał na piękną niegdyś twarz i stanął, ona jęczała, on słuchał; drzwi były odemknięte.

— No! no! ogrzéj się — chodź a drzwi zamknij! izbę studzisz! drwa kosztują drogo. Co ty za jedna? —

Marysia weszła, stanęła u drzwi i tupała nóżkami; łzy jéj płynęły. Czerwony jegomość stał i patrzał, potém założył pióro za ucho i kręcąc głową, zawołał:

— Co ty za jedna? —

Prócz jęku nie było odpowiedzi, a jegomość nie rozumiał jęków i mruczał pod nosem: — Musiała być ładna i jeszcze także nieszpetna! —

Był to ostatni może tryumf biednéj Marysi. Pozwolono jéj się ogrzać, *nie, że była biedna, ale, że była ładna.* Ona siedziała przy piecu. Czerwony jegomość zamknął drzwi na klucz. Milczała i oddychała ciężko. Ciepło przejmowało jéj ciało od dwóch dni skościałe; język jéj odmarzł; prosiła jeść. Czerwony jegomość dał jéj wódki i chleba z solą, ciągle mrucząc pod nosem: — *Musiała być ładna.* —

W kilka tygodni Marysia gospodarowała u tego jegomości, a on chodził z piórem za uchem, pisał pozwy i ruszał ramionami i dziwował się, *że ona była ładna, a taka biedna!* Było się czemu dziwować! Marysia niezawsze była tak biedna i tego domyślał się czerwony jegomość, ale o tém nie mówił.

Potém czerwony jegomość został przeniesiony do innego miasta, a Marysia marzła znowu na ulicy.

Tu kończy artykuł o Marysi autór. Całe zaś dziełko kończy artykuł o »Pannie Chorążance« wcale nie zły:

»Nie miał świat panny nad pannę Eufrozynę Pulcheryą Maślankównę, Chorążankę upitską! Powiat upitski wydał dwie wielkie i sławne osoby: Sicińskiego i pannę Eufrozynę. Ten co zdziałał, wié świat cały; co ona zrobiła, to ja opowiem:

Razu jednego, był wieczór, słońce zachodziło, żaby skrzeczały, pędzili bydło z pola, panna Eufrozyna siedziała w oknie i wzdychała; musiała się nieboraczka wywzdychać, bo tyle uczuć nabrała ze starego francuskiego romansu, że gdyby ich z westchnieniami w świat nie puściła, od tego serce by pęknąć mogło lub przynajmniéj ogromnie spuchnąć.

Siedziała, mówię, w oknie i patrzyła na lud prosty, na pastuchów i bydło, myśląc sobie: jak są szczęśliwi, że miłości zdradliwéj nie znają!

Aż oto szum, trzask, wrzask, jakichś dwóch konnych zajeżdża przed ganek, panna Eufrozyna od okna odskoczyła, psy zaczęły szczekać, drzwiami trzaskali; aż się okna trzęsły, Jegomość pan Chorąży wybiegł aż na ganek.

Z tego wszystkiego domyślać się wypadało, że ten ktoś był pożądanym gościem i ważną figurą. I panna Eufrozyna poszła włożyć nowy szlafroczek i przypiąć loki, a potém pobiegła do salonu, do tego gościa; cała zajęta sobą i domysłami, ktoby to mógł być taki? Już się zbliżała ku drzwiom, już słyszała głos ojca, perorujący w sali, otwiera drzwi, wchodzi, lecz jakże się zdziwiło . . . . .

— *Papieru mi nie stało.*

Robiąc to drugie wydanie, szczerze chciałem dokończyć powiastkę o pannie Chorążance, ale na ten raz znowu, jak wprzódy papieru, nie stało konceptu, nie tak go gorzéj daleko, (bo koncept byłbym łatwo pożyczył), nie stało atramentu. Ostatkiem czarnych tych łez kałamarza ledwie kilka słów dopisać mógłem. O losie! było napisano w księdze przeznaczeń, aby historya panny Chorążanki na wieki niedokończoną została. Umiejmy się zgodzić z wolą przeznaczenia i — bywajcie zdrowi. Życzę wam wiele konceptów, niewyczerpanego zapasu papieru i atramentu. *Dixi.*«

Taką humorystykę nieganimy i w takiéj może się pan Kraszewski odznaczać, ale gdzie mowa o teraźniejszych nieludzkich, niechrześciańskich socyalnych stósunkach, o zepsuciu serca człowieka przez to, iż to serce nie pojmuje ducha bożego — tam nie drwić — tam płakać wypada.

***

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień we Wtorek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych. Główny debit ma księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Redaktor *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*